

POPRZEDNIA pani książka, „Zatrzymać czas”, wybrana została książką roku. Kolejna, „Zdarzenia potoczne” wydana również nakładem warszawskiej Spółki Wydawniczo-Księgarskiej, cieszy się ogromnym powodzeniem. Obie to spokojne, zwyczajne zapiski z dnia codziennego, z zamyślenia, z odrobiny wspomnień. Jak pani myśli, dlaczego te dwie książki czytelnicy wyławiają z księgarń w czasie, gdy pełno w nich polemik polityków, burzliwych życiorysów, różnorodnych „ludlumów” i „harlekinów”?

— Słuszniej byłoby, gdyby odpowiedzieli na to pytanie czytelnicy. Co ich frapuje w moich książkach, co różni moje od innych tego typu, które pojawiły się po mojej. Pojęcia nie mam, na czym polega tajemnica aż takiego powodzenia jednej i drugiej książki. Chociaż nie — kłamię. Chyba domyślałam się, co ludzi pociąga, a mianowicie możliwość identyfikacji. O tym piszą w listach, które do mnie przychodzą. Piszą, że myślą tak jak ja, odczuwają jak ja, tak samo cierpią i cieszą się też tak samo. To zjawisko jest mi dobrze znane i z autopsji, i z teatru. Ja również nade wszystko przedkładam w sztuce to, z czym mogę się utożsamiać. W teatrze te przedstawienia, z którymi widzę się utożsamia, mają największe powodzenie. Tak, to jest chyba ten powód: pewien rodzaj szczerości.

— Zgadzą się z tym. Ja też, czytając obie pani książki łapałam siebie właśnie na utożsamianiu się. Pani Zofio, do momentu ukazania się „Zatrzymać czas” znaliśmy panią jako artystę teatru, osobę w teatrze znaczącą, zajmującą w nim ważne miejsce. W obu pani książkach teatru prawie nie ma. Dlaczego?

— Bo i w moim obecnym życiu teatru jest mało. Prawie go nie ma. A teatr kiedyś? Już

go prawie zapomniałam... Widać pani, ja czuję się aktorką spełnioną, przepięknie spełnioną. Najważniejszą natiomiał sprawą, jaka mi z teatrem pozostała, to serdeczność i życzliwość ludzi towarzyszące mi na co dzień. To, że tak wiele osób pamięta mnie z teatru, z telewizji. Ze upominają się o mnie. To mi sprawia

dobrokiem, renomą, popularnością, która zrezygnowała ze stałego etatu w warszawskim teatrze i zaangażowała się gościnnie do Poznania „na rolę”. Jeździ pociągami w jedną i drugą stronę. Podjęła trud ryzyka. Ma fantazję dziewczyną. Nie stoi w miejscu. Walczy. Ja też kiedyś w młodości walczyłam, też wyjechałam z wy-

baza, wewnątrz jest w nich takie samo. Widzę to, bo pamięć mam dobrą i pamiętam, jacy my byliśmy w ich wieku. Są ufnie. Wierzą nam i wierzą w swoje możliwości. Są pilni i chętni tam, gdzie się realizują, gdzie mają natychmiastowe efekty. Migają się od tego, co ich nudzi. Są romantyczni. Wierzą w szlachetność i tacy

„Czuje się aktorką przepięknie spełnioną...”

Rodzaj szczerości

ogromną radość. A że teraz gram znacznie mniej i nie pierwszorzędną rolę? Tak układa się życie. Jestem od dziesięciu lat związana z Teatrem Współczesnym, bo tam znalazłam przyjazne miejsce po krachu z Narodowym. Ufam, że czas mój jeszcze nadejdzie i pozwolę mi zrealizować coś, co przyniesie mi satysfakcję i uwagę publiczności. Bez wiary w lepsze nie umiałabym żyć.

— I teatrowi, i ludziom teatru jest dziś wyjątkowo trudno. Co pani mówi studentom, gdy wyprawia ich w świat, kiedy opuszczają teatralną uczelnię?

— Tu dotknęła pani bardzo trudnych spraw. Najmniej w dzisiejszym teatrze podoba mi się to, że nie daje szans młodym. Pod tym względem, kiedy ja debiutowałam, było lepiej. Wtedy w ogóle było mnóstwo pracy i możliwości. Na przykład w telewizji polskiej aktorzy robili wszystko: teatr, kabaret, poezję, seriale. Dziś telewizja jest przepełniona zachodnimi serialami, dla polskich aktorów miejsca jest mało.

Co mogą młodzi? Mogą błądzić, poznawać ludzi, brać w życie czynny, aktywny udział i nie dawać się od tego życia odsunąć, zepchnąć na jego pobocze. Bardzo podoba mi się Joasia Szczepkowska, aktorka z fantastycznym już

godnego Krakowa do prowincjonalnego Lublina. Dopiero potem przyszło wszystko inne. Na początku był Lublin.

— A jacy oni są, ci młodzi? W PWST ma ich pani jak na dłoni...

— Oni? Oni są tacy sami jak my. Nie widzę żadnej prawdziwej różnicy poza powierzchownością: inaczej się cieszą, inaczej się ubierają, więc i sposób bycia mają inny. Ale

chcą być. Ale są młodzi, więc bywają też nieznośni. Jedno ich różni od mojego pokolenia: są mniej wyrobieni społecznie i mniej zespołowi. Ale z tym też bywa różnie. To zależy od roku. Od doboru poszczególnych charakterów. Albo sklejają się w stado, albo żyją małymi, oddzielnymi grupkami. To się zmienia. Zawsze jestem ciekawa każdego nowego rocznika, bo to aż dziw bierze,

jak się to różnie układa. To bardzo interesujące obserwować, jak w ciągu jednego roku robią się innymi ludźmi. Zawsze na korzyść! Jak prędko emancypują się i jak pięknieją.

— Pani Zofio, dość często jeździ pani do Krakowa.

— Tak, od czasu, gdy zostałam sama, jeżdżę do rodziców. Dopóki ich jeszcze mam. Lubię być z nimi, np. w czasie świąt. Jest wtedy cicho i spokojnie. Ale już w drugi dzień uciekam do szkolnych, krakowskich koleżanek, bo — jakże by inaczej?

— A potem powrót do pracy?

— Oczywiście. Jest szkoła teatralna, jest Skolimów. W styczniu rozpoczynamy akcję na rzecz Skolimowa, czyli Domu Aktora. Nazwalimy ją „Symposium kulinarnym”. Gdzie? U Ady Biedrzyńskiej, w jej kawiarni na Kruczej. Czy się uda? Musi się udać!

— Czyli: w nowy rok 1994 patrzymy optymistycznie?

— Oczywiście. I tego właśnie życzę wszystkim czytającym „Głos Wyrzeża”. Optymizm mimo wszystko.

Rozmawiała: **WALENTYNA TRZCIŃSKA**



„Bez wiary w lepsze nie umiałabym żyć...”